

Zew

(C) Paweł Wolak 2010-2012

Wezwanie Śnieżnej Królowej

W kopalniach nocy będziesz ukochanym, -
Ja będę królową, ty moim poddanym
I choćbyśmy mieli ginąć po raz wtóry
Kochać cię będę...

Wydawać się wprawdzie może, że jestem jak zima
Wierz mi, że to jedynie klimatu wina
Będę cię dotykać, będę cię pragnęła

Ostatnim, co zrobić możesz, jest próbować mnie opuścić
Wszakże nie chcesz mnie chyba złościć
Nawet, jeśli moje uczucie będzie trochę brutalne

Bo chociaż jestem królową, ty nie będziesz księciem
Choćbyś próbował zauroczyć mnie zaklęciem
Zakuję cię w kajdany mojej miłości

Nie martw się jednak, uczciwością mego uczucia
Będzie tak mocne jak zimnego lodu ułucia
Tak harde, jak potężne kajdany

Tak trwałe jak tysiącletnie marmury
Na których będziesz ty i moje wierne szczury
Tak okrutne, jak ostrza, które w ciebie wbiję

Tak gorące, jak krew, będzie me uczucie
Jakby wypalone w najgorętszej hucie
Nawet w swej dobroci umrzeć nie pozwolę

Zatruję twój umysł, ukradnę twą duszę
Może okaleczę, może przyduszę
Prawdziwa miłość wymaga poświęceń
A ja chcę ich więcej, i więcej, i więcej!¹

1 © Paweł Wolak 2010, wszystkie prawa zastrzeżone.

Czym są śnieżne płatki? Niestłuchane bogactwo rozbudowanych, niepowtarzalnych kształtów o idealnej budowie. Nieskończone piękno. Pędzące bez ustanku, pchane lodowatym wiatrem, zbierające się w pary, grupy, stada – stają się zimne i nieskończenie okrutne. Usypiające, ukrywające, uszczęśliwiające, zabójcze.

Robert chciał tylko spokoju, nawet nie świętego, po prostu spokoju dla swojej duszy. Trochę rzeczy mu w życiu wyszło – miał dobrą pracę, mądre dzieci, które były z nim szczęśliwe. Jednak to, co uważał za najważniejsze, wcale mu się nie udało. Odejście żony zdruzgotało go wewnątrz, zniszczyło najpierw jego kontakty z dziećmi, karierę, a potem jego samego. Pragnął już tylko spokoju i liczył, że właśnie go dadzą mu bezkresne śniegi w odległym kraju.

Wydawało mu się, że przeszedł już olbrzymie połacie terenu tej mroźnej krainy i zwiedził niezliczone ilości identycznych wiosek – czy wywołały to warunki, czy było to prawdą, nie było jednak wcale ważne. Istotny był fakt, iż każda nowa miejscina była wybawieniem, chociaż na chwilę, od wiecznych mrozów. I tym razem udał się od razu do jedyne, wyróżniającego się z kilkunastu, budynków – karczmy. To miasteczko nie miało nawet kościoła, czy innej świątyni – każdy budynek, ściśle zbity z drewna, z rzadka otoczony także warstwą blachy, pełnił jedynie formę ochrony przed dojmującym mrozem.

Wszedł do środka karczmy, mocnym pchnięciem uderzając w masywne drzwi. Spojrzał na smętne, zaspane, jednakowo niemrawe twarze klientów, którzy, jeśli nawet unieśli swoje głowy, to tylko po to, aby zorientować się, skąd znalazł się na ich facjatakach wiatr. I równie szybko je opuszczali, by smętnie popijać możliwie mocne trunki albo i po prostu siedzieć w bezruchu.

Robert podszedł do kontuaru i zarazem jedyne człowieka, który stał i zajmował się czymś sensownym – gęsto brodatego karczmarza, czyszczącego kufle. Przynajmniej pozornie, bo szmata, którą trzymał w ręku, nie różniła się barwą ani od jego brody, ani dużej czapy, którą miał na głowie.

- Co podać? - zapytał zdawkowo.
- Informację. Gdzie, w zasadzie, jestem? Przybyłem tu, słysząc... nie wiem właściwie, co słysząc. Musiałem uciec od dotychczasowego życia, a dotarłem tutaj...
- Słuchaj, mendo – przerwał mu olbrzym zza kontuaru – ja tu podaję ino trunki. Nie rozmyślam ani o tym, co jest, ani o tym, co będzie. Piwo?
- Może być piwo.

Robert sączył powoli wyrób tutejszej gorzelni i rozejrzał się, raz jeszcze, po staromodnym lokalu. Zdziwił się, że tym razem nie wszyscy bywalcy baru widnieli jako smętni i ledwo widoczni dla świata – pewien starzec, siedzący przy stoliku nieopodal kontuaru, wyglądający jakby wieczne śniegi prószyły nań bez ustanku, przyglądał mu się z wyraźnym zainteresowaniem. Gdy Robert skierował ku niemu twarz, powiedział cichym szeptem:

- Zew, oto jest to, co usłyszałeś, przybyszu.

Zachęcił Roberta ręką, aby ten usiadł obok niego.

- Wszyscy mieszkańcy tej najbardziej zapomnianej z opuszczonych, górskich wiosek przybyli tu za Zewem albo są potomkami tych, którzy go słuchali - wyszeptał, gdy rozwodnik usiadł obok niego. - Wielu dociera tutaj, ale nikt nie wie, dokąd powinien ruszyć dalej, gdy przestają słyszeć melodię.
- Czym jest Zew?
- Sam powinieneś wiedzieć to najlepiej – perorował starzec – bo chociaż podobno każdy wędrowiec słyszy je trochę inaczej, to słowa są jedne. Czy pragnieniem, nadzieją, czy wyzwoleniem... tym, co potrzebne desperatom – zachichotał. - Ale to nieistotne. Dla ciebie

ważne jest tylko to, skąd możesz usłyszeć go ponownie, a ja mogę cię tam skierować.

Robert nie miał wątpliwości, że stary człowiek mówi prawdę, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego. Zapytał więc o drogę.

- Hola, hola. Wielu mnie o to pytało, ale niewielu odpowiedziałem, dlatego też nie wszyscy poginęli w śniegu, a niektórzy też pracują, o ile można tak to nazwać, na przetrwanie tej nieszczęsnej wioski... Odpowiedz mi na pytanie wedle którego zadecyduję, co powinienem uczynić z tobą.

Przybysz wiedział już, że jest na łasce starca – faktycznie od paru dni nie mógł usłyszeć tej dziwnej melodii, która sprowadziła go tak daleko od domu, a teren w pobliżu wielu, bardzo wielu kilometrów wyglądał identycznie z każdej strony. Wszędzie też równie zabójcze były mrozy, jeśli miało się wędrować za długo. Nabrał oddechu w płuca, ale tubylec nie pozwolił mu go wypuścić, tylko przeszedł do sedna swojej wypowiedzi:

- Szukasz śmierci, przybyszu?

Śmierć... to było dobre pytanie, pomyślał Robert. Wyzwoleniu od śmierci było bardzo niedaleko. Jednakże człowiek z chociaż złudną nadzieją próbuje walczyć. I to właśnie powiedział starcowi.

- A to paradne! A więc nie szukasz zgonu, ale końca dotychczasowego życia... - ten znów się zaśmiał, ale po chwili zaszepił – nie jesteś więc tchórzem. Ciężko tylko powiedzieć, kim naprawdę jesteś... - zarechotał raz jeszcze, ale to było dla niego za dużo, zaniósł się suchym, trzaskającym kaszlem.
- Hark! - odplunął, gdy odzyskał głos i dokończył swą zagadkową wypowiedź – dobrze więc... idź na wschód, chłopcze. Ale nie pomyśl się, bo od śmierci do końca życia jest naprawdę niedaleko. A teraz zamów mi kufla, i hark!, wspominaj dobrze starego Gynvahla.

Po paru minutach jakże interesujący, wydawałoby się, starzec, znów stopił się w jedno z przynębiającym wnętrzem karczmy.

Okazało się, że faktycznie ani starzec, ani kompas Roberta nie kłamali i udało mu się przeżyć jeszcze chwilę. Wędrując przez niestrome, ale wycieńczające nieustającym chłodem, piękne, czyste góry, usłyszał znów delikatną, nie różniącą się zbyt od szumu wiatru, ale jednak dość wyraźną melodię. Nie umiał rozróżnić poszczególnych słów – wydawały się wybrzmiewać w jakimś pradawnym języku – ale miał nieodpartą wrażliwość, że są pełne wyznań miłości. Przypomniał sobie tym przemyśleniem słowa starca o poszukiwaczach i o tym, ilu to z nich pochłonęły śniegi – jeśli szukali miłości, to odnaleźliby ją tylko, gdyby ich wybranką była śmierć.

Robert poprawił sakwy na plecach, stwierdził, że jeszcze nie jest mu potrzebny posiłek, po czym ruszył na wschód. Niebo wciąż było jasne, ale widoczność pogarszała się z każdą chwilą – śniegi, pędzone przez wiatr, ukrywały tajemnice swojej krainy.

Gdy stanął na kolejnym, pomniejszonym szczycie był już naprawdę zmęczony. Zastanawiał się, dokąd właściwie może dojść, idąc za Zewem – aż wreszcie dostrzegł za bezlitosną mgłą kolejną górę, a na niej... budowlę. I to nie była jaką – majestatyczną, wysoką wieżę. Widział jedynie jej kształt, a i to ledwo, ale nie miał wątpliwości, że to z niej wydobywał się Zew.

Nie znajdowała się nawet daleko – najwyżej kilka godzin dodatkowej drogi, którą mógłby odbyć od

poranka – problemem okazała się zawartość doliny, wypełniającej przestrzeń pomiędzy oboma szczytami. Bo rozpościerał się weń przyprószony śniegiem, ale wciąż ciemny i mroczny las. Pełen twardych, wyglądających na niezwykle wytrzymałe, iglastych drzew, mogących mieć na oko Roberta i tysiące lat. Potężny, niepoddający się śniegom, a także nieunikniony dla wędrowca.

Ten rozłożył sobie poślanie pod dużą skałą, choć trochę chroniąc się przed zimnym wiatrem i zdecydował, że tajemnice lasu odkryje następnego dnia.

Gdy tylko wszedł do lasu, odczuł niepokój. Mgła, wszędobyłski chłód i cienie z zaśnieżonych świerków i sosen, a przede wszystkim – iście grobowa cisza, która zastąpiła szmer nieustającego wcześniej wiatru i rozbrzmiewającego od czasu do czasu Zewu, nie mającego wstępu do doliny. Przed zejściem, Robert zapamiętał położenie kompasu, aby trafić do tajemniczej wieży – oczywiście, właściwym kierunkiem był wschód. Rozpoczął marsz, chociaż z duszą na ramieniu i kurczowo trzymany w dłoni nożem, który przedtem wisiał swobodnie, przytroczone do pasa. Przeszedł może z dwa kilometry leśnych odstępów, gdy chrapliwy, ale wyraźny i donośny głos przełamał ciszę:

- I z takim nastawieniem chcesz udać się do Królowej?

Robert gwałtownie się zatrzymał, wyciągnął nóż przed siebie, nie mógł jednak dokładnie zlokalizować właściciela głosu.

- Królowa nie znosi tchórzy, to przede wszystkim. Jeśli trafisz do niej w takim stanie, w jakim obecnie się znajdujesz, twoja wyprawa skończy się gniciem w lodowatych lochach.
- Co za królowa? Kimże jesteś, pokaż się! - wędrowiec zdołał wreszcie odpowiedzieć rozmówcy.

Coś wyraźnie stuknęło o ziemię za plecami Roberta, ten jednak, pomimo szybkiego obrotu, wciąż nikogo nie widział.

- Jak to się dzieje, że nawet pełen grozy w sercu tchórz, jak ty, jest w stanie usłyszeć Zew? Zaiste, jest to dla mnie niepojęte. - głos tymczasem rozległ się ze zgoła przeciwnej strony.
- Królowa jest jedyną i prawdziwą autorką wiecznego Zewu, za którym tu przybyłeś. Jest nieugiętą panią tych nieszczęśliwych krain, skutych lodem i pokrytych wiecznymi śniegami.

Nagle, właściciel głosu zdecydował się ukazać oczom Roberta. Zeskoczył z jednego z pobliskich drzew, strząsając zeń ogrom wspomnianego śniegu, który zasypał częściowo wędrowca.

Istota, która się przed nim pojawiła, na pewno nie była człowiekiem, chociaż z dalszej odległości, zwłaszcza w tych warunkach pogodowych, mogłaby zostać z takim pomyłona.

Tym niemniej, z bliska nie było wątpliwości – małe, podłużne, delikatnie fosforyzujące na żółto oczy, pysk przypominający świński, z wydatnymi kłami, do tego cała niekształtna głowa. Długie ręce przyczepione jakby na wysokości piersi ludzkiego mężczyzny, wydatnie owłosione, jak i całe, szkaradne ciało; w ciemności było ciężko dokładnie to zobaczyć, aczkolwiek najprawdopodobniej sierść stworzenia była ciemnorudawa. Jakby tego było mało, koszmarna istota miała krótkie, masywne nogi, zakończone kopytami.

Robert cofnął się, na co szkarada prychnęła pogardliwie:

- Doprawdy, cóż za tchórz!

Po czym żółte ślepie błysnęły, a dłoń potwora, prawie normalna, jedynie zakończona brudnymi, zaplamionymi najwyraźniej zaschniętą krwią szponami, złapała gardło wędrowca. Ten wycharczał, nie mogąc się ruszyć:

- Nie jestem tchórzem...

Wskutek tej wypowiedzi, potwór rzucił Roberta na ziemię, i wykrzyczał w szybkim tempie, przez co ledwie dawało się go zrozumieć:

- Ależ oczywiście, że jesteś! Nawet mnie, słabego fauna, nie jesteś w stanie pokonać, tylko dlatego, iż cholernie boisz się dzikich istot! A to i tak najmniej poważny z twoich lęków.

Wędrowiec spieszył się, albowiem faun miał rację. Już od wczesnego dzieciństwa przeraźliwie bał się wszelkich wilków, niedźwiedzi, a nawet zachowujących się agresywniej psów, czy kotów domowych. Nawet nie wiedział dlaczego, ale zawsze starał się ich unikać. Zdecydował się już niczego nie mówić monstru, przez co panowała przez chwilę głucha cisza, aż wreszcie faun, już spokojnie, wrócił do moralizowania Roberta.

- Nie możesz teraz pójść do Królowej, jeszcze jest za wcześnie. Pomogę ci pokonać twoje lęki, ale tylko, jeśli zechcesz. W przeciwnym wypadku, możesz wracać do domu, gdziekolwiek by on by nie był i próbować zapomnieć o Zewie, ale nie udź się, że przestaniesz rozbrzmiewać w Twojej duszy.
 - Nie mam dokąd wracać. Co mam zrobić, by trafić do pani tych ziem?
 - Chodź za mną – zakończył rozmowę faun, po czym wyciągnął się i ruszył i przed siebie, w ciemność lasu.
-
-

Robert powoli wstał i ruszył za nim – monstrum wyraźnie nie spieszyło się – po czym wędrowali, faun spokojnie i pewnie, a wędrowiec ostrożnie, zważając na leżące wszędzie śniegowe zaspy i konary gałęzi, pozostałości po połamanych drzewach.

W pewnym momencie faun skręcił, jak Robert stwierdził - na północ, ale po paru minutach zmienili kierunek ponownie, a po następnych kilku – znowu. Aż wreszcie, po paru godzinach, Robert uznał, że miałby problem z odnalezieniem drogi powrotnej. Nawet używając kompasu, ponieważ ścieżki wielokrotnie się krzyżowały, a ośnieżone drzewa potrafiły blokować przejście w daną stronę na przestrzeni wielu metrów. Sytuacji nie ułatwiało to, że w dolinie generalnie było ciemno, a po kilku godzinach wędrówki zaczęło zmierzchać.

Mówiąc krótko, Robert się zagubił – o co najwyraźniej faunowi chodziło, bowiem nagle pochylił się, przykurczając nogi, po czym wyskoczył wysoko i daleko, na koronę jednego z drzew. To zaszumiało i zasypało ziemię śniegiem. Następnie podobnie wstrząsnęło się parę kolejnych, znajdujących się coraz dalej.

Wędrowiec stanął oszołomiony w narastającej ciemności, w części lasu niczym nie różniącej się według jego orientacji od innych, po czym usłyszał skądś wyraźny głos fauna, znowu nie mogąc jednak zlokalizować miejsca pobytu jego źródła.

- Samotność.

Oto więc chodziło! - Robert zachnął się, poniekąd zdziwiony, bo przecież przeszedł samotnie już

nieskończenie duże połacie mroźnej krainy i był przyzwyczajony do tego, że stoi w pojedynkę przeciw wiatrom, zimnu i obawie czy jego działania mają chociaż najmniejszy sens.

Gdy stwierdził, że rozumie wymiar danej próby i nie przeraża go ona, wyciągnął kompas i ruszył na wschód.

Nie szedł nawet godziny, gdy dotarł do ścistej, zbitej ściany drzew, przez którą, oczywiście, nie miał jak się przepawić. Wyglądała niczym naturalnie zbudowana barykada – dziesiątki starych, potężnych drzew rosły skierowane do siebie tak, że nie pozostawiały pomiędzy sobą nawet najmniejszej luki, która nie byłaby wypełniona grubym i twardym, równie jak lód, śniegiem. Robert uznał, że nierozsądne jest kierowanie się na zachód, bo z cofania się nic mu nie przyjdzie. Miał też wrażenie, że w czasie podróży z faunem zdecydowanie wysunął się ku północy, dlatego też postanowił wyrównać, idąc na południe.

Okazało się to być dobrą decyzją – już po paru kilometrach był w stanie ominąć niepokonaną wcześniej ścianę drzew i wrócić na ścieżkę prowadzącą ku wschodowi. Był pełen entuzjazmu, sunąc coraz lepszą ścieżką, najwyraźniej solidnie niegdyś przechodzoną przez leśne istoty – jakiegokolwiek by one nie były. Nie mógł wprawdzie ocenić, jak daleko posunął się w drodze, ale dolina miała około pięćdziesięciu kilometrów w linii prostej, pomiędzy szczytem, z którego ją obserwował, a wieżą, do której zmierzał, nie powinien więc musieć wędrować dłużej niż dzień, najdalej dwa.

Coraz dokładniej wydrążona droga doprowadziła go wreszcie do niewielkiej doliny, na którą, po krótkim wahaniu, wszedł. Wypełniona była śniegiem, ogromną ilością igieł... i, o zgrozo, kośćmi. Gdy Robert to dostrzegł, zaniepokoił się, ale póki jeszcze mógł coś zobaczyć – dolina była odsłonięta od drzew i docierały nań ostatnie promienie zachodzącego słońca – zdecydowanym krokiem ruszył na koniec dołu, nie rozglądając się nadmiernie.

W lesie wciąż panowała iście grobowa cisza, ale miał wrażenie, że próbuje ją przełamać szmer wiatru, który musiał więc mieć nieopodal szparę pośród zbitych drzew, przez którą starał się dostać w leśne ostępy.

Gdy wreszcie wspiął się po twardej, ośnieżonej ziemi na drugim końcu niewielkiej doliny, słyszał szum coraz wyraźniej. Parokrotnie zdało mu się również, że usłyszał jakby warknięcie, ale nie był tego pewien.

Odpooczywał pod zbitą grupką sosen, znajdujących się kilkaset metrów od domniemanego cmentarzyska, gdy wreszcie przyszedł zmrok – i nastąpiła ciemność. Wówczas wstał, szukając wolniejszego od drzew terenu, w którym mógłby dostrzec światło księżyca, zamieniającego się przecież rolami z dziennym słońcem.

Znów już po paru kilometrach trafił na polanę, zdającą się ciągnąć przez znaczącą długość wzdłuż kierunku jego marszu.

Gdy tylko nań wkroczył, znów usłyszał głos fauna – najwyraźniej w swojej głowie.

– Naturalni łowcy.

Jeśli wcześniej Robert miał wątpliwości co do słyszalnych warkotów jakichś leśnych zwierząt, teraz nie mógł mieć najmniejszych.

Donośne, charkliwe szczeknięcia docierały do niego od strony doliny-cmentarzyska, z wielu gardeł naraz, łącząc się w jedno wraz z wyczuwalnymi tąpnięciami nóg o ziemię. Coraz bliższe, coraz głośniejsze.

Wędrowiec wiedział, na kogo poluje wilcza wataha. Zerwał się szybkim ruchem nóg, właściwie skokiem, pędził przez polanę, wiedząc, że dzieli go co najmniej kilometr od zabójczych szczek i szponów. Przebierał nogami, usiłując kontrolować jednocześnie oddech, ale kiedy bestie wkroczyły na polanę i ruszyły upiornym biegiem, spanikował. Zakrztusił się, upadł, zerwał się z ziemi i pędził, czując widmo nadchodzącej śmierci.

Wataha warczała zgodnie – Robert widział, że nie były to zwykłe wilki. Tocząca się z rozgrzanych pysków ciecz była żółcią zmieszaną z krwią, podniecone polowaniem ślepie zdawały się odbijać światło księżyca, połyskując jasnym srebrem. Ich ciała, otoczone mrocznym, czarnym futrem, poruszały się zgodnie – majestatycznie, ale nienaturalnie. Bestie szarżowały niczym kawaleria, stosując te same wymachy nóg, w tych samych chwilach, w jednakowym rytmie uderzając o ziemię, nieuchronnie zbliżając się do skazanego na zagładę człowieka. Próbującego wycisnąć ze swoich mięśni niemożliwą do uzyskania siłę, która dałaby mu możliwość bezpiecznej ucieczki.

Robert dostał jednak szansę na ocalenie. Goniony przez przerażające go do granic wilki, zorientował się, że przed nim znajduje się pokaźny stóg siana, najwyraźniej wcześniej ukryty przez mgłę. Wprawdzie był w panice, ale wiedział, że każde zwierzę boi się ognia. W pełnym biegu szarpnął plecak, prawie upuścił go na ziemię, ale dosłownie cudem zdołał z jednej z kieszeni wyciągnąć paczkę zapalek. Zatrzymał się na parę sekund przy stogu, za którymś z kolei – wydawało mu się, że setnym – razem zdołał rozpalić nikły ogień. Przyłożył go do siana, ale chociaż było ono suche, to stłumiło ognik natychmiast.

Zaklął w desperacji, wyciągnął ze skózanego plecaka termos z resztką wody, a samą sakwę rzucił, wraz ze znajdującym się w niej śpiworem i ubraniami, na stóg. Następnie zapalił jeszcze jedną zapalniczkę – w tym momencie wataha była już naprawdę blisko, może czterdzieści metrów od niego, ale plan wypalił. Robert stwierdził, że musi się udać. Plecak zapłonął aż nierealnie potężnie, od niego migiem zajęło się siano i wędrowiec musiał rzucić się naprzód, aby fala powstającego żaru i ognia go nie dotknęła.

Ruszył biegiem, w mgłę i dym, który narastał w oczach. Sapiąc i czując ucisk w żołądku. Wataha tymczasem ryknęła zgodnie, zatrzymując się przed buchającym ogniem. Ten nie ustawał, ale szalał w pełni – od stogu poczęły płonąć wszędobylskie igły i konary, śniegi w okolicy zaczęły parować, a drzewa wysychać i w okamgnieniu również stały w ogniu. Wilki dusiły się i piszczały przerażone, straciły swój szyk i majestatyczność, próbowały oszalałe wrócić tam, skąd przybyły. Ale nie było tam już nikogo, kto by przejmował się ich losem.

Robert nie zwalniał, przede wszystkim dlatego, że teraz to chmura ognia goniła go poprzez polanę. Nie mógł wiedzieć, co dokładnie się dzieje, ale nie mógł też sobie pozwolić na rozejrzenie się.

Wtem, polana zakończyła się przed jego nogami, wpadł pomiędzy drzewa i usłyszał po raz trzeci,

przeszywający go dogłębnie, dobijający swoją przenikliwością, głos fauna:

– Śmierć.

Skupisko drzew było bardzo niewielkie, jednakże bardzo szybko zaczynało płonąć, dotykane szatańskim ogniem. Wędrowiec – a może już należałoby powiedzieć, poddawany próbom szczęściarza – nagle zatrzymał się, hamując ostatkiem sił, orientując się, że stoi nad urwiskiem. Było ciemno i mgliście - chociaż ogień za nim płonął zawzięcie, to nie pomagał w ocenieniu wysokości zbocza.

Robert padł na kolana, czując nadchodzącą śmierć – był postawiony pomiędzy bezlitosnym ogniem, a najprawdopodobniej zabójczym dla niego urwiskiem. Gdy już miał się załamać ostatecznie, spróbował zastanowić się, co takiego zrobił, że przetrwał poprzednie próby monstrum nazywającego się faunem. O dziwo, być może, jego myśli nie były zamroczone, ale zrozumiał prędko, co powinien teraz uczynić. I kiedy chmura chmura żaru i walące się drzewa uderzały wprost na niego, zeskoczył ze zbocza.

Zachłysnął się zadymionym powietrzem, zamrugał czując, że pędzi w dół, odruchowo złożył w nogi w kolanach, po czym stracił przytomność.

Obudził się, leżąc częściowo już przyprószony śniegiem. Pamiętał próby jak przez mgłę. Nie wiedział też, w jaki sposób w zasadzie udało mu się przeżyć. Nie miał przy sobie swojego plecaka, żadnego sprzętu, posiadał jedynie ubranie, które miał na ciele.

Jednak te rzeczy już się nie liczyły. Znajdował się u celu swojej wędrówki.

Wieża nie wydawała się rozpościerać aż po niebo – pomimo śniegu, było ono przejrzyste i szczyt budowli był doskonale widoczny, a znajdował się około dziesięciu metrów wyżej od podłoża. Błyszczała od zamrożonego nań śniegu, a zbudowana była z pomalowanych na biało cegieł. Robiła wrażenie solidnej, estetycznej konstrukcji – ale już nie oszałamiała.

Robert wstał z ziemi, otrzepał się pospiesznie ze śniegu i niewiele myśląc, udał się ku wrotom wieży - całkiem białych tak jak reszta budowli. Przy drzwiach stało dwóch strażników, kontrastowo ubranych w czarne, długie płaszcze i niewielkie hełmy. Nawet nie drgnęli, gdy Robert znalazł się przy nich i wreszcie pchnął ciężkie wrota. Były zdecydowanie potężne, ale już po chwili poddały się dłoniom wędrowca. Kiedy wkroczył do środka zostały natychmiast zatrzaśnięte przez czarnych strażników.

Mężczyzna stał pod wysokimi, krętymi schodami wykonanymi z ciężkiego kamienia - oczywiście białego. Nie było tu nikogo, kto mógłby go poprowadzić. Przytłumione światło słoneczne wpadało do wnętrza przez kilka niewielkich okien o kształcie wydłużonych półkoli, które były tak sprytnie wbudowane w ściany, że nie dało się ich dostrzec z zewnątrz.

Robert ruszył ostrożnym krokiem po schodach nie wyposażonych nawet w lichą barierkę, przytrzymując się ściany. Dostrzegł podczas wspinaczki, że chociaż wszystko w wieży było prosto wykonane, to też bardzo pieczołowicie. Każdy kamień, składający się na budowlę, był dokładnie ukształtowany i dopasowany do reszty, tak, że nie było widać żadnych, najmniejszych nawet uchybień czy niedoskonałości. Wszystko błyszczało aż nienaturalnie – jakby w wieży nic nie mogło pokryć się kurzem czy jakimkolwiek innym brudem.

Robert podążał ku górze. Co piętro dostrzegał misternie wykonane, kryształowe drzwi, jednak żadne nie dawały się otworzyć, więc szedł dalej. Aż najwyraźniej dostał się tam, gdzie go zaproszono, bo w pewnym momencie schody się urwały. Znajdujące na tym poziomie - najwyższym - drzwi były szeroko otwarte.

Gdy przeszedł przezeń, zdumiał się rozmiarem pomieszczenia, w którym się znalazł. Mogło swobodnie uchodzić za salę balową – z zewnątrz wieża zdecydowanie nie wyglądała na tak szeroką.

Sama komnata była podobnie minimalistycznie ozdobiona, jak ten fragment wieży, który miał okazję zwiedzić, za to w jego pierwszej połowie znajdowały się dwa duże stoły, suto zastawione jadłem i napitkiem. Druga połowa, położona trochę wyżej od pierwszej, za krótkimi schodami, była pusta, jednakże widoczne były w jednej z jej ścian kolejne wrota.

Gdy tylko Robert zbliżył się do nich usłyszał ciche, ale wyraźne polecenie, dochodzące najwyraźniej zza wspomnianych drzwi:

- Stój! Zatrzymaj się, zasiądź przy stole, a następnie zejź na dół. Na niższym poziomie znajdziesz otwartą komnatę, przeznaczoną dla siebie – cichy, kobiecy głos tłumaczył dalej – umyj się tam i przebierz w strój, który tam znajdziesz. Dopiero wtedy wróć tutaj.

Robert wzruszył ramionami, po czym usiadł do stołu, jak mu nakazano. Wędrował za Zewem tak długo, że u celu mógł spodziewać się wszystkiego, a słowa niezajomej – być może mitycznej Królowej – brzmiały wprost zwyczajnie. I sensownie, bo po wędrowce przez śnieżną krainę nie czuł się zbyt świeżo.

Królowa wyglądała oszałamiająco.

Czarne, długie loki spływały po jej bokach, za tyły twarzy, która wyglądałaby niczym dzieło sztuki, gdyby nie była tak pełna życia. Ciemne, srogie, iskające gromem, ale i wypełnione namiętnością oczy. Długie, wyraźnie podkreślone czernią rzęsy, delikatnie zaznaczony na twarzy nos, i pełne, ale niewielkie usta.

Poniżej, na delikatnej szyi, błyszcząca srebrna, wysadzana diamentami kolia. Smukłe ramiona, na które zarzucona była niezwykła, jakby utkana z moknącego śniegu, niebieska suknia. Odsłonięta przy dekolcie, zarysowanym jednak wyłącznie tak, aby kusić, ale absolutnie nie pokazywać zbyt wiele.

Wreszcie widoczne były kształtne nogi, a na jej stopach – czarne pantofle.

Kobieta mogła być demonem, diabolicą zapraszającą go do piekieł, ale Robert nie dbał o to. Była tak piękna, tak idealna, że ledwie realna.

Nie ruszyłby się z miejsca, onieśmielony jej urokiem. Ale gdy spojrzała na niego zalotnie, przechylając powoli głowę, delikatnie błyszczącą skórą na twarzy, jakby sama była śniegiem, którego panią była nazywana. Wreszcie uśmiechając się, mrużąc lekko oczy, jedynie o milimetry przesuając ku policzkom prawy kącik ust, nie mógł tak tkwić ani chwili dłużej.

Pragnął rzucić się na nią – piękną, idealną, doskonałą istotę, czuł się stworzony tylko do tego, by oddychać jej zapachem, dotykać aksamitu jej skóry, całować delikatne usta, pieścić jej ciało.

Nie omieszkał więc tego wszystkiego uczynić, a ona, piękna, szykowna i dworna, wydając z siebie

ciche westchnienia, oddawała się mu. Stopniowo sugestywnie dając do zrozumienia, czego chce, karcąc za niezgodne z jej oczekiwaniami działania. Nigdy jednak nie drażniąc się z nim zbyt długo. W końcu był mężczyzną stworzonym dla jej przyjemności, nie chciała z niej zrezygnować.

Patrzyła przez zamknięte dla świata, ukryte przed oczami śmiertelnych, niewielkie przeszklone okno, ze swojej komnaty. Zziębnięta, chociaż gorąca. Rozczarowana, chociaż zachwycona. Jej nieprzenikniony wzrok, wydający się - a być może czyniący to naprawdę - sterować wiecznymi śniegami tkwił, lekko przymglony, gdy wieczny umysł Pani rozmyślał. Tęczówki na chwilę błyskały niebiańskim błękitem, gdy poczuła się szczęśliwa. Spoglądała jednak na kochanka, a jej szczęście uciekło z serca, jakby nigdy nie mogło się tam pojawić. Robert spał - Królowa była sama. Tęczówki wypełniły się chłodnym, ciemnym granatem, a źrenice zapaliły się złowrogo. Po czym wstała, zapominając już o ulotnej chwili radości.

- Straże! - krzyknęła, a kilka kwadransów później, ogłuszony Robert widniał już w lochu.

Następujące po sobie powoli dni i noce były dla Roberta naprawdę ciężkie. Został zaciągnięty do lochów. Zmuszano go do ciężkiej, katorżniczej pracy, współdzielonej z wieloma innymi mężczyznami. Silnymi, atrakcyjnymi, małowównymi.

Początkowo nikt nie chciał udzielić mu odpowiedzi na jego pytania - tłumaczono mu wyłącznie techniki pracy - ale sprawy szybko zaczynały być jasne. Królowa była w jakiś sposób sprzężona z wieżą, w której żył już od co najmniej kilkuset lat. Trwała weń nieustannie, nie mogąc się wydostać i poznać świata, zdolna będąc jedynie do obserwowania go zza małych okien. Poczęła zwoływać ludzi - mężczyzn.

Przychodziło do niej coraz więcej nieustraszonych i zakochanych w niej już w momencie przybycia wojowników i wędrowców, żaden jednak nie mógł dać jej szczęścia. Zawsze popadała w złość i rozpacz, a swoich najwierniejszych mężów, których trzymała przy sobie już od zarania swojego istnienia, uczyniła strażnikami jej świata-wieży - reszcie zaś nakazała realizować swój syzyfowy plan ucieczki - kopać ziemię, dół tak głęboki, aby mogła wyjść przez jakiś tunel na zewnątrz.

Praca, okrutna, nie dawała jednakże większych efektów. Chociaż kolejne komnaty prowadziły coraz głębiej, to żadna z prób opuszczenia któregośkolwiek z tuneli, nie powiodła się. Gdy Królowa chciała wyjść ze swych komnat, tunele wypełniały się natychmiast śniegiem i lodem, pozostawiając jedynie główne poziomy budowli, a sama pani budziła się znów w swym łóżu.

Mężczyźni mieszkający w wieży, podobnie jak ona, nie mogli umrzeć i jej opuścić. Jeśli zostali zasypani podczas próby ucieczki Królowej, utykali w lodzie i trwali w bezruchu, aż nie dokopali się do nich kolejni. Królowa w swej rozpacz i desperacji była przekonana, że sposobem na ucieczkę jest odpowiednia odległość. Kazała więc kopać, kopać za wszelką cenę, karząc okrutnie za każdy objaw niesubordynacji. Używała swych mężów, kiedy miała na to ochotę, popadając nieuchronnie w coraz większą złość i rozczarowanie. Zwabiła wciąż następnych, aby ich wykorzystać i nakazać wieczną pracę.

Pech - albo szczęście - sprawiło, że Robert przybył do wieży akurat gdy trwała najdłuższa z kampanii prowadzonych przez mężczyzn Królowej. Odnajdywano coraz więcej zamrożonych - najczęściej apatycznych, zupełnie milczących, pozbawionych chęci życia mężczyzn. Ich umysły były

wycieńczone – zdolni byli jedynie do ciągłego rozbijania kamieni i kopania.

Pewnego dnia (lub nocy) nastąpiło ogólne zaskoczenie.

Odnaleziono mężczyznę wyglądającego niczym grecki heros – potężne mięśnie, atletyczna sylwetka, dumna mina na zmrożonej twarzy. Miał na ciele tajemnicze insygnia – tatuaże i wzbudził ogólny podziw. Robert, chociaż jeszcze nie zasymilowany, przybity i zrezygnowany, razem zresztą niewolników zastanawiał się, kim też może być ten wojownik – a także czy przemówi. Wolał te rozważania, niż ciągłe uzalanie się nad swoim losem, jakże dzielącym go od upragnionego spokoju ducha.

Pierwszy Kochanek odmarzał dość długo. Mijały całe dni, podczas których był wciąż głównym tematem na ustach wszystkich robotników – aż wreszcie otaczający go lód stopił się zupełnie. Ostatnia odmarzła ręka trzymająca w dłoni ogromny młot.

W przeciwieństwie do wcześniej uwolnionych mężczyzn, Pierwszy Kochanek okazał się być przytomny i w pełni świadomy tego, kim jest. Gdy tylko odmarzył w pełni, począł kuć lód dalej – ale nie w dół, gdzie trwały wykopiska, ale w głąb miejsca, w ścianę, która była dokładnie za nim. Lód pękał prędko pod uderzeniami potężnego młota, a wydawało się, że cała konstrukcja wieży drży w posadach z każdym kolejnym.

Królowa przebudziła się i nakazała raportować swoim najwierniejszym mężom. Ci zeszli nisko, w głąb tunelu, aby zobaczyć na własne oczy upadek wieży ich pani.

Gdy Pierwszy Kochanek docierał już do celu swojego działania – niewielkiej komnaty, całkiem skutecznej lodem – rzucili się na niego strażnicy Królowej. Byli jednak bezradni. Zamaszyste uderzenia broni, która zdawała się być niepokonana kierowana potężną dłonią, natrafiały na miękkie ciała bezwolnych ludzi.

Po ich pokonaniu nikt nie odważył się tknąć Pierwszego.

Królowa krzyczała. Instynktownie rozumiała, że nadchodzi kres jej istnienia. Pałała w niej niezaspokojona żądza, ale także i pragnienie życia. Wiedziała, że nie może powstrzymać mężczyzny, że nawet nie dostanie się do niego, ale wybiegła ze swych komnat z rozpaczą.

Robert, podobnie jak reszta mężczyzn, rzucili swoje narzędzia i przerwali pracę, gdy cała wieża zauważalnie chybotwała się. Żaden nie zareagował, gdy Pierwszy uderzeniami młota dokopał się wreszcie do centrum tajemniczej komnaty i jeszcze jednym uderzeniem zmiażdżył kamienny cokół wraz z niebieskim kryształem znajdującym się nań.

Ktoś spróbował zatrzymać Królową zbiegającą na dół, zaczęły się zbierać śniegi wewnątrz

wykopaliska, aż nagle wszystko zamarło, gdy kryształ rozpadł się na kawałki. Nastąpiło kilka sekund ciszy, przerwanych westchnieniem Pierwszego: „To koniec pragnienia”.

Wówczas świat w wieży zaczął umierać, jakby nigdy go wcześniej nie było. Śnieżna zawieja powstała znikąd i siała spustoszenie. Mury pękały.

Zgasły ostatnie płomienie nadziei Roberta, gdy zrozumiał, że nigdy nie opuści tego przeklętego miejsca żyw. Zaraz jednak pojął, że właśnie ten wybuch, ta tragedia – jest jego wybawieniem. I przyjął je z wyrazem rozkoszy na twarzy.

A ona, czująca pragnienie i będąca nim zarazem, została wreszcie uwięziona pod wiecznymi śniegami, tak jak powinno stać się wieki temu.

Nie zostanie już wybawiona, nie dostanie więcej szans – skazana na wieczne niezaspokojenie, gdy jej Zew nigdy już nie zostanie usłyszany.

Zapraszam na <http://baja.draiser.net> , aby skomentować tekst!